

Na żółtym mchu, wśród bagien leżał kiedyś kamień. Z pozoru zwykły, zwyczajny kamień.
Kamień jak kamień.

Nie przejmuję się tym, jak wygląda rozpostarte nad nim niebo, jak szumi las i szemrze rzeka.
Nie obchodzi go też, czym zajmują się jego sąsiedzi.

A niebo niech sobie spogląda na dół, na ziemię, tysiącem swoich miłosiernych i czułych oczu.
Niech nadąsane i gniewne ukrywa się przed ziemią za zasłoną z chmur i mgły. Niech w
przystępie złości straszy ją piorunami i błyskawicami.

I niech sobie las szumi pieśnią i miłością albo krzykiem czy chrapliwym szelestem straszy.
Niech sobie nawet stoi pusty i nagi w białe owinięty całuny.

Niech sobie rzeka spokojnie toczy kryształowo-czyste wody. Niech przechowuje w swoim łonie
własne niebo i własne gwiazdy. Niech się nawet burzy. Niech miota swoje spienione, gniewne
wody w górę, ku niebu, które pragnie zesać na nią srogą zimę i skuć ją lodem.

Kamień pozostaje zawsze kamieniem. I ciche, milczące jest serce kamienia.

Milczy nawet wtedy, gdy oślizgłe żaby wyskakują z bagna i odprawiają na nim swoje gody, gdy
na jego grzbiecie rechoczą i kumkają.

A kamień ze swoim skamieniałym sercem zarywa się coraz głębiej w ziemię, w mech.

Przecież to tylko zwykły kamień — powiadają młodzi. Starsi zaś smętnie się przy tym
uśmiechają. Oni pamiętają czasy, kiedy kamień nie był jeszcze kamieniem.

I kiedy młodzi zwracają się do nich z pytaniem: „Czym był według Was ten kamień?” — każdy z tych starców, których włosy przyprószone są siwizną, ma swoją wersję, swoją bajeczkę na temat kamienia: — To był kiedyś lew. Dziki, ślepy w ziejącym pustką stepie. Otulony w mglistą mgłę z różowego piasku, przebiegał przez step. Spoza mgły jego oczy wyglądały jak dwa płonące słońca. I każdy jego pomruk odbijał się potężnym jak grzmot echem.

Pewnego dnia lew zachorował. I kiedy leżał zmożony chorobą, usłyszał, że osioł opuścił miasto i podąża do niego. Osioł chciał postawić na dumnym grzbiecie lwa zwycięską stopę. Co więcej, lew obawiał się, że osioł zechce przy tej okazji prawić mu morały.

I z żalu, a może ze strachu przed ośłą stopą i oślimi morałami, lew zastygł w bezruchu i z biegiem lat skamieniał.

Teraz zamieniony w kamień coraz głębiej wrasta w ziemię.

Jeszcze po dziś dzień przechodzą go ciarki na myśl o morałach osła i jego stopie. Dlatego pragnie głębiej się zaryć i skryć.

I ślepy starzec drżącymi rękoma obmacuje i głaszcze kamień. Czy nie zauważyliście — powiada — jak wyraźnie rysują się poszczególne części jego ciała? Czy nie widzicie śladów jego dumnej grzywy? Ja doskonale je wyczuwam.

Drugi znów starzec pewnym, acz nieco drżącym głosem twierdzi, że to wcale nie był lew.

— A więc kto to według ciebie był, staruszkule?

— Feniks!

I kiedy prawnuki otaczają go kołem i pytają:

— Co to takiego feniks? — starzec smutnym głosem wyjaśnia:

— Feniks to taki ptak. Bóg obdarzył go wiecznym życiem. Przedtem jednak postawił mu warunek. A dar obwarowany warunkiem przestaje być darem. Ustalił z nim mianowicie, że jeśli pragnie wiecznie żyć, to co jakiś czas musi oczyścić się ze swoich grzechów w ogniu. Od czasu do czasu musi też sam się spalić, aby z popiołu powstać znowu do życia.

Z popiołów albo z ostatniej tłęcej się iskry.

I pewnego razu — ciągnie dalej swą opowieść staruszek, a w jego oku zaszklila się mała, prawie niewidoczna łza. — Feniks nie chciał wejść w ogień.

Czy z tego powodu, że grzeszny żywot za bardzo przypadł mu do gustu, czy też dlatego, że na chwilę zwątpił w zmartwychwstanie? Kto raczy wiedzieć? A On, Pan na Wysokościach skierował na feniksa gniewny wzrok. I pod wpływem tego wzroku feniks skamieniał.

— Na zawsze? Na śmierć?

— Kto to wie? Czasem — powiadają ludzie — drży... Wtedy, kiedy niebiosa się rozrywają.

Nieco młodszy wiekiem, ale na tyle dojrzały, że mogą pamiętać i potrafią opowiedzieć, nie wierzą w wersję z feniksem.

— Samemu nie wchodzi się do ognia. Nie bardzo też chce się wierzyć w to dziesięciokrotne zmartwychwstanie.

— A więc co to jest? Zwykły kamień?

— Co to, to nie! Czasami widać, że coś w nim drga. On chyba był orłem. Zuchwałym orłem. I skrzydła miał długie, szerokie i potężne. Kiedyś porwał się na słońce. Zachciało mu się znaleźć płamy na słońcu. A wtedy słońce przywitało go salwą ognia. I skrzydła mu się spaliły. I popiół ze spalonych skrzydeł rozwił się w powietrzu...

A kiedy jednak pyłek z tego popiołu wpadnie komuś do oka, ten natychmiast kieruje swój wzrok przeciwko słońcu i przeciwko wszystkiemu, co jest na świecie i nad światem. I orzeł spadł na ziemię martwy i z czasem zamienił się w kamień...

— Czy nie zauważyliście, że jest czarny? To od ognia.

Jeszcze młodszy, ale wystarczająco dorośli, śmieją się.

— Co tam. Bajeczki dla grzecznych dzieci! Żadnego tam lwa, feniksa czy orła nie było.

Oni mają na temat kamienia zupełnie inną wersję. Według nich był to w istocie ptak, ale całkiem zwykły. Taki jak wszystkie ptaki na świecie.

— My pamiętamy, że w trelach tego ptaka słychać było podszepty zła. Jego trele wodziły na pokuszenie. Słodkie dreszcze przechodziły człowieka, gdy je słyszał. Nadchodziła cisza

Cudzoziemski ptak

Wpisany przez Reb. Janusz Baranowski
Piątek, 06 Lipiec 2018 00:00 -

przedwieczorna i ptak, ten śpiewak nad śpiewakami, tęsknie jął w lesie zawodzić. Kto wtedy mógł ręczyć za żonę lub córkę?

Wtedy to stara a cnotliwa czarownica przeklęła pieśniarza tymi oto słowy: "Obyś oniemiał i zamienił się w kamień".

I wówczas właśnie rozdarły się niebiosy. Wolny i swobodny dotychczas ptak zamienił się w kamień.

Jakkolwiek rzecz się jednak miała, coś w tych legendach musiało być... Pewnego bowiem dnia nad okolicą przeleciał jakiś cudzoziemski ptak. Nim się ukazał oczom ludzkim, po okolicy przetoczył się cudowny, słodki szum. Niezwykła muzyka.

Była cicha letnia noc. Las i rzeka, księżyc i gwiazdy zatrzymały się w ruchu. Z uwagą przysłuchiwały się tej nowej, nie znanej, słodkiej i delikatnej muzyce. "Jakaż ona świeża. Ile w niej swobody!" Tak drżąc ze wzruszenia, szeptały liście na drzewach.

A zwierzęta w lesie i żaby na bagnach zastygły w bezruchu. Uległy czarowi muzyki. Niedźwiedź unoszący się do skoku zawisnął w powietrzu. Podobnie żaba. Zastygła z otwartą gębą w bagnie.

I wtedy ptak się ukazał.

Cudzoziemski ptak

Wpisany przez Reb. Janusz Baranowski
Piątek, 06 Lipiec 2018 00:00 -

Nikt dotychczas nie widział takich długich, szerokich, białych i potężnych skrzydeł.

Bez szmeru, cichuteńko zatrzymał się w powietrzu.

Rzeka i las wstrzymały ze zdumienia oddech.

A on śpiewał. Słodki i potężny był jego śpiew. I świeża, święta była jego pieśń.

Noc stawała się coraz cichsza, coraz głębsza i coraz świętsza. Pograżony w marzeniach las stawał się coraz bardziej zielony i coraz bardziej kwitnący. Róża rozkwitła jaśniejszym płomieniem. Zaczarowana rzeka nagle rozbrzmiała cichą, delikatną i słodką melodią.